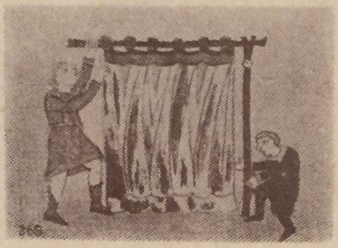

ŻYCIE TEATRU

1959-1960 1

ŻYCIE TEATRU

WYDAWNICTWO PAŃSTWOWYCH TEATRÓW DRAMATYCZNYCH
WE WROCŁAWIU

Sezon 1959/60 Zeszyt 1

TREŚĆ ZESZYTU:

1. ROGER VAILLAND 3
2. ANDRZEJ NOWICKI – PIOTR ABELARD 4
3. LIST PIERWSZY ABELARDA DO PRZYJACIELA 11
4. LIST PIERWSZY HELOIZY DO ABELARDA 16
5. LIST DRUGI HELOIZY DO ABELARDA 22
6. LIST BERNARDA Z CLAIRVAUX DO INNOCENTEGO II . . 25
7. BERENGARA NAUCZYCIELA APOLOGIA 27
8. KRONIKA ŻYCIA PIOTRA ABELARDA 28

Zeszyt pierwszy
Wydany z okazji prapremiery „Heloizy i Abelarda"
Roger Vailland'a 21. XI. 1959 r.

Zakł. Graf. RSW „Prasa". Wrocław. 3280. L-13 574

ROGER VAILLAND

Roger Vailland urodził się w roku 1907. W czasie studiów filozoficznych w Paryżu ulega wpływom surrealistów drukując wiersze i eseje w czasopismach awangardy obok Aragona, Bretona i Eluarda. W roku 1928 porzuca studia w Sorbonie i karierę literacką dla podróży i pracy dziennikarskiej. W czasie okupacji bierze udział w Ruchu Oporu zostając szefem ośrodka konspiracyjnego w Lyonie. Po wyzwoleniu Paryża zostaje korespondentem wojennym przy Międzysojuszniczym Sztabie Głównym uczestnicząc we wszystkich kampaniach na froncie zachodnim.

Swoje obserwacje wykorzystuje w pierwszej powieści wydanej w roku 1945 pt. „Dziwna zabawa". Powieść ta przynosi mu nagrodę „Prix Interallie". W roku 1948 bierze udział w Kongresie Pokojowym we Wrocławiu. W roku 1949 wystawia w Paryżu sztukę pt. „Heloiza i Abelard", za którą w roku 1950 otrzymuje nagrodę „Prix Ibsen". Następną sztuką jest „Pułkownik Foster przyznaje się do winy". W roku 1952 wstępuje do Francuskiej Partii Komunistycznej. W ciągu 10 lat od roku 1945 wydaje pięć powieści. Za powieść pt. „La loi" (polski tytuł „La pasatella") otrzymuje w roku 1957 najwyższą francuską nagrodę literacką „Prix Goncourt".

ANDRZEJ NOWICKI

PIOTR ABELARD

Od przeszło ośmiuset lat działa na postępową ludzkość potężny urok śmiałego umysłu teologa, poety i filozofa Piotra Abelarda (1079—1142).

Nie trudno wyjaśnić tajemnicę tego uroku. W okresie, kiedy cały niesprawiedliwy ustrój społeczny opierał się na powadze uświęcających go autorytetów kościelnych, Abelard miał odwagę przeciwstawić się autorytetowi Kościoła w imię rozumu i sumienia.

Walcząc z autorytetami kościelnymi z pozycji chrześcijańskich, z pozycji teologa, Abelard rozsadzał od wewnątrz gmach panującej ideologii średniowiecza, torując drogę humanizmowi i racjonalizmowi Odrodzenia.

Po upadku wspaniałej kultury starożytnej Europę chrześcijańską zalegał przez wiele stuleci głęboki mrok.

Cała hierarchia feudalna żyła z nieopłaconej pracy chłopów, pogardzanych, traktowanych gorzej niż bydło i pozbawionych możliwości prawnej obrony przed uciskiem i wyzyskiem, ponieważ władzą sądową byli ci sami panowie, którzy ich gnębili i obdzierali. W wyniku feudalnego systemu wyzysku chłopi żyli w nędzy i nieraz głodowali.

Ale wyzysk rodzi nieuchronnie walkę z wyzyskiem.

Pierwszym większym powstaniem chłopskim, zarejestrowanym przez kroniki średniowieczne, było w Europie feudalnej powstanie chłopów Normandii około roku 1100. (...) Abelard miał wówczas około 20 lat, a jego rodzinne strony sąsiadowały z terenem powstania. Kto wie, czy okrucieństwo rycerzy wobec chłopów nie było jednym z powodów, dla których Abelard nie chciał być rycerzem i dokonał uroczystego zrzeczenia się prawa do feudalnego majątku swego ojca.

(...) Jaką postawę zajmował wobec ucisku i wyzysku chłopów sam Abelard? Uciskanie ubogich uważa on za jeden z najcięższych grzechów, w porównaniu z którym popełniony przez Adama grzech pierworodny był błahostką, ponieważ

„Adam nikogo nie uciskał i nikomu niczego gwałtem nie wydzierał, a tylko raz skosztował owocu".

(...) Czasy Abelarda obfitują w całą galerię wspaniałych postaci rewolucyjnych kaznodziejów ludowych, którzy występowali ze śmiałymi oskarżeniami przeciw świeckim i duchowym wyzyskiwaczom. Do najbardziej znanych należeli: Piotr z Bruys, który działał przez 20 lat (1106—1126). Właśnie wtedy, kiedy formowały się główne zręby poglądów Abelarda — i Henryk z Lozanny, który wygłaszał kazania przez 30 lat (1116—1147). Pierwszy z nich został spalony, drugi zać umarł w biskupim więzieniu w roku 1150.

(...) Bezsporną zasługą Abelarda było rozbudzenie potężnego ruchu umysłowego. Nikt przed nim — nawet spośród filozofów starożytnych nie posiadał tylu uczniów. Przy słabym wówczas zaludnieniu liczba pięciu tysięcy uczniów Abelarda jest liczbę olbrzymią. Osiągnięcie tak wielkich rezultatów było jednak możliwe jedynie dzięki temu, że obiektywne warunki dojrzały do przełomu w dziejach kultury. Jest to okres szybkiego rozwoju miast. Za czasów Abelarda toczą się krwawe walki o wyzwolenie miast spod jarzma seniorów feudalnych, biskupów, książąt i hrabiów. Abelard wyrósł na olbrzyma dziejów kultury właśnie dzięki temu, że jego walka z autorytetem Kościoła wyrażała interesy miast walczących o wolność. (...) Czołowym przedstawicielem hierarchii kościelnej, który zabrał głos przeciw mieszczanom Laon był Radulf Le Verd, arcybiskup Reims (1106—1124). Przed Abelardem stanęło więc zadanie wystąpienia do wielkiego teologicznego pojedynku przeciw temu arcybiskupowi. Jak z tego widać, rozważania teologiczne w czasach Abelarda nie miały wcale charakteru czysto teoretycznego, oderwanego od życia, ale stanowiły nierzadko odpowiednik dzisiejszej publicystyki politycznej. (...) Arcybiskup Reims podkreślił, że obowiązuje posłuszeństwo wobec wszelkiej władzy, zarówno dobrej jak złej. Przeciw temu właśnie wystąpił śmiało Abelard z własnym oryginalnym objaśnieniem Pawłowych wersetów. — To prawda — przyznaje Abelard — że należy być posłusznym władzy, należy jednak rozróżniać między władzą a tyranią:

„Czym innym bowiem jest sprzeciwianie się tyranii złego zwierzchnika, czym innym zaś sprzeciwianie się prawowitej władzy, którą zwierzchnik otrzymał od Boga...". Tym rozróżnieniem między władzą a tyranią Abelard usprawiedliwiał przede wszystkim bunt miasta Laon, przeciw biskupowi — tyrano-

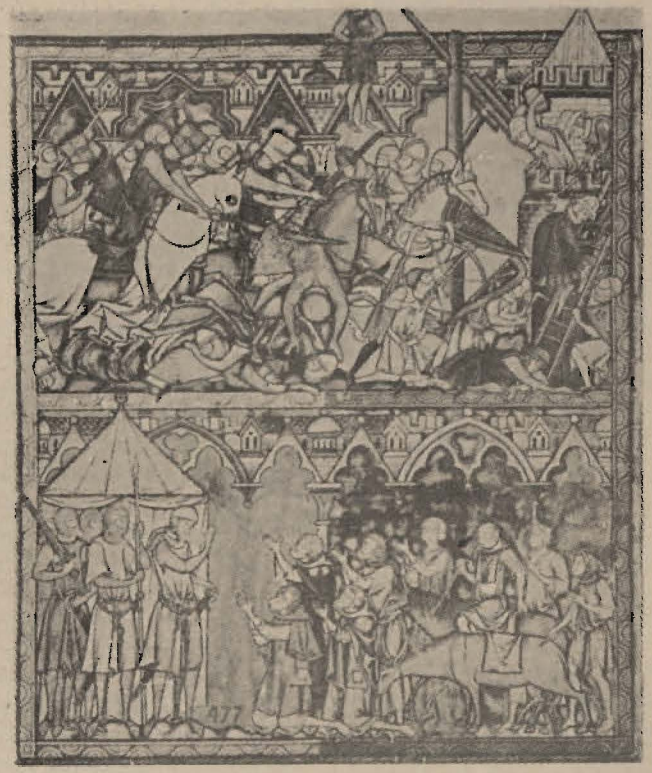

wi, a zarazem toczoną w całej Francji walkę miast przeciw tyrańskim rządom świeckich i duchownych feudałów.

(...) Abelard był najwybitniejszym filozofem swojej epoki. Wielkość Abelarda jako filozofa widać w tym, że w wielkim średniowiecznym sporze o uniwersalia, czyli o przedmiot nazw ogólnych potrafił wystąpić z własnym, oryginalnym rozwiązaniem, zbliżającym się do dzisiejszego, naukowego, marksistowskiego rozwiązania tego zagadnienia.

... Mając 20 lat, przybywa około roku 1100 do Paryża, gdzie wykładał czołowy przedstawiciel ówczesnych „realistów" Wilhelm z Champeaux, późniejszy biskup Châlons-sur-Marne w latach 1113—1122. Wkrótce młody uczeń, bez najmniejszego szacunku dla autorytetu największej ówczesnej powagi filozoficznej, zaczął publicznie kwestionować poglądy Wilhelma (...). W ten sposób Abelard zdobył sobie pierwszego potężnego wroga. Wilhelm przez dwadzieścia lat (aż do swej śmierci) czyni intrygi, żeby zniszczyć Abelarda, który zagasił jego sławę.

W roku 1101 dwudziestodwuletani Abelard otwiera własną szkołę w zamku Melun, a następnie w Corbeil. Lata 1102—1112 osłonięte są w życiorysie Abelarda głęboką tajemnicą. Wiadomo tylko, że pod koniec tego okresu po powrocie z rodzinnej Bretanii znalazł się w Laon, gdzie rozpoczął walkę z największym autorytetem teologicznym swoich czasów, Anzelmem z Laon. Wypędziwszy Abelarda z Laon, Anzelm potwierdził tym samym swoją porażkę. Sława Abelarda rośnie coraz bardziej. Zaczynają ściągać do niego uczniowie z Rzymu i z Anglii, z Anjou, Poitou i Gaskonii, z Hiszpanii, Normandii, Flamandii i Niemiec. W opinii współczesnych Abelard wyrasta na duchowego olbrzyma, niezwyciężonego Goliata wiedzy średniowiecznej.

Nie mogąc pokonać Abelarda w publicznej dyspucie, przedstawiciel hierarchii kościelnej na czele ze znanym biskupem Radulfem Le Verd, skłaniają legata papieskiego, kardynała Kuno z Urrach, do zwołania synodu w celu odbycia sądu kościelnego nad Abelardem. Po upokorzeniu go i zmuszeniu do rzucenia własnej książki w ogień zawleczono go „jak złoczyńcę i zbrodniarza" do więzienia w klasztorze św. Medarda w Soissons, skąd po kilku dniach odesłano do klasztoru św. Dionizego pod Paryżem. (...) Z pomocą kilku przyjaciół udało mu się nocą zbiec z więzienia klasztornego do miejscowości Saint-Ayoul koło Provins. Kiedy opat Adam dowiedział się o miejscu schronienia Abelarda, zażądał wydania go.

Szczęściem wkrótce zmarł i Abelardowi pozwolono osiąść w pustelni koło miasta Nogent nad Sekwaną. Pustelnia ta zamieniła się szybko w ludną uczelnię ponieważ żądni wiedzy uczniowie przybyli do Abelarda, prosząc go, aby znów zaczął wykładać. Prześladowania wrogów zmusiły go do opuszczenia i tej pustelni. (...) Wygnanie trwało kilkanaście lat. Dopiero około roku 1136 mógł Abelard wznowić wykłady filozofii w Paryżu. Prześladowania go nie załamały. W okresie wygnania kiedy nie mógł wykładać, napisał swoje główne dzieła filozoficzno-teologiczne: *Sic et Non* (Tak i Nie), *Introductio ad Theologiam* (Wstęp do teologii) i *Scito te ipsum, seu Ethica* (Poznaj samego siebie, czyli Etyka). Dzieła te krążyły w licznych odpisach po całej Francji i docierały do innych krajów europejskich. (...) Na początku roku 1140 posypały się przeciwko Abelardowi jadowite oskarżenia o herezję. Oskarżenia te trafiły do młodego, dwudziestojednoletniego króla Francji, Ludwika VII, który zażądał zwołania synodu w sprawie Abelarda. Synod został zwołany na dzień 2 czerwca 1140 roku przez arcybiskupa Sens, Henryka Sanglier. Synod zawczasu przygotowany i wyreżyserowany przez Bernarda, potraktował Abelarda jak heretyka nad którym odbyto krótki sąd. Abelard któremu uniemożliwiono obronę, odwołał się do Papieża. W drodze do Rzymu zachorował i zmarł. (1142).

II

Abelard był nie tylko wielkim filozofem, ale również wielkim poetą. Z listu Heloizy wiemy, że układane przez niego pieśni — nie tylko w języku łacińskim, ale również w języku ludowym (francuskim) — śpiewała cała Francja. Dla ludu francuskiego który nie umiejąc czytać i nie znając łaciny, nie znał jego dzieł filozoficznych i teologicznych, Abelard był przede wszystkim poetą i kompozytorem, autorem ulubionych, śpiewanych wszędzie piosenek. (...) Od Abelarda biorą początek wesołe pieśni studenckie, chłoszczące chciwość, nikczemność i głupotę najwyższych dostojników kościelnych. (...) Abelard był wielbicielem Hellenów. Za entuzjazm dla Platona atakowali Abelarda jego wrogowie.

Postawę humanistyczną i to jeszcze radykalniej niechrześcijańską od Abelarda, zajmowała również jego uczennica i żona, Heloiza. Listy jej świadczą, że była to kobieta nieprzeciętna, przerastająca śmiałością umysłu nie tylko własne stulecie. Historyk rosyjski Traczewski stawia ją wyżej od Abelarda, nie bez słuszności stwierdzając, że kiedy Abelard pod wpływem klęsk załamał się i w listach do niej zaczął się upodabniać do świętego Hieronima czy Bernarda, Heloiza pozostała wierna światopoglądowi i postawie ich młodości, będąc w tym okresie — już jako przełożona klasztoru — bardziej Abelardem niż on sam. Na przykład jej *Problemata* zawierające wybór sprzeczności i niejasności z Pisma Świętego były właściwie dalszym ciągiem Abelardowego *Sic et Non*.

Wielu historyków filozofii zwróciło uwagę na fakt, że światopogląd i postawa Heloizy wywracają nasze pojęcia o średniowieczu. W epoce głębokiego mroku, zabobonu i fanatyzmu, kiedy Bernard i Norbert czynili „cuda", wypędzali z ludzi „diabła", wyklinali muchy i próbowali wskrzesić (zresztą bez powodzenia) zmarłych — w światopoglądzie Heloizy nie było wcale Boga.

A kiedy zjawia się w liście Heloizy Bóg, to... jako oskarżony o „najwyższe okrucieństwo".

Nawet wtedy, gdy wstępowała do klasztoru, szeptała przed ołtarzem klasztornym nie modlitwę, lecz heksametry pogańskiego poety Lucana, bardziej przypominając podczas składania ślubów zakonnych — starożytną Rzymiankę niż chrześcijankę średniowieczną.

Andrzej Nowicki

(Piotr Abelard — Historia moich niedoli, PIW — 1952)

LISTY ABELARDA I HELOIZY

Przekład: Leon Joachimowicz

List pierwszy Abelarda do przyjaciela

(fragmenty)

(...) Jak ci wiadomo, żywiłem zawsze silną odrazę do nieczystości; z drugiej zaś strony bezustanna i wytężona praca w szkole nie zostawiała mi nigdy chwili wolnej na towarzystwo i obcowanie z białogłowami szlachetniejszego rodu, a nawet niezbyt się znałem na kunszcie świeckiego obejścia i towarzyskiej ogłady. Na ten czas szczęście, by chochlik złośliwy, nadobnie miląc się ku mnie, nadarzyło mi bardzo dogodną sposobność, ażeby ze szczytów wzniosłości łacniej mnie strącić w otchłań poniżenia. A raczej to litość boża chciała mnie zaślepionego pychą i niepomnego doznanych dobrodziejstw na nowo pozyskać dla siebie.

Żyła wonczas w Paryżu dzieweczka jedna imieniem Heloiza, siostrzenica niejakiego kanonika Fulberta. On to, gorącą ją darząc miłością, nie szczędził żadnego wysiłku ni trudu, by dać jej wszechstronne i pełne wykształcenie. Urodą nie była najpośledniejszą, a co do wiedzy, nie miała sobie równej. Albowiem zaleta ta, jaką jest bez wątpienia wiedza i ogłada literacka, im rzadsza jest w rodzie niewieścim, tym chlubniejszą była dla niej ozdobą i bardzo sławną czyniła ją w całym królestwie. Ja przeto zważywszy wszystkie szczegóły, które nie są obojętne dla zakochanych, uznałem ją za wielce odpowiednią na wybrankę swojego serca i postanowiłem wzbudzić w niej miłość wzajemną ku sobie. Wierzyłem zaiste, że łatwo mi się to uda. Tak wielki był bowiem w tym czasie rozgłos mojego imienia, taki wdzięk mojej urody, taka krasa młodości, iż nie obawiałem się zupełnie, by jakakolwiek niewiasta, którą bym zaszczycił swoim uczuciem, odmówiła mi wzajemności. Co do Heloizy, nie miałem nawet cienia wątpliwości, że będzie chętnie powolna moim pragnieniom właśnie dlatego, że tak wysokie posiadała wykształcenie i tak namiętnie lgnęła do wiedzy. Nawet gdyśmy pozostawali z daleka od siebie, listownie wymienialiśmy nasze uczucia i mi-

mo rozłąki myślą byliśmy razem. Niejednokrotnie też o wiele śmielej wypowiadaliśmy sobie niejedno w piśmie niż w ustnej rozmowie i tak bezustannie prowadziliśmy lube świergoty.

Płonąc tedy cały miłością do młodej dziewczyny, szukałem okazji, abym ją przez codzienne rozmowy w domu bardziej ze sobą oswoił i łatwiej nakłonił do wzajemności. Ażeby tego dokonać, wszcząłem rozmowy z wujem i opiekunem Heloizy. Prosiłem go za wstawiennictwem jego przyjaciół, by mnie za wszelką cenę utrzymania przyjął do domu swego położonego opodal naszej szkoły. Prośbę swą przystroiłem w pozory, że niby kłopoty i mitręgi domowe stanowią zbytnią przeszkodę w mych powinnościach szkolnych, a samo prowadzenie gospodarstwa powoduje nadmierne koszta. A był to starzec niepomiernie chciwy, a przy tym jak najusilniej zabiegał o to, aby krewniaczka jego coraz lepsze czyniła postępy w nauce. Dla tych to dwóch powodów z łatwością uzyskałem jego zgodę i dopiąłem, czegom pragnął; starca bowiem trawiła na wskroś żądza pieniędzy, a zarazem żywił w duchu nadzieję, że jego siostrzenica niejedną w mej obecności odniesie korzyść. Przychylił się zatem do błagań moich gorących i ponad najśmielsze moje marzenia zaradził potrzebie kochania, powierzając mianowicie Heloizę całą memu nauczaniu i prosząc, żebym jej zawsze, nie szczędząc trudu, pomagał w kształceniu się zarówno w dzień jak i w nocy, ilekroć wróciwszy ze szkoły będę miał chwilę wolnego czasu; a nawet żebym ją jak najsurowiej karcił, jeślibym zauważył, że jest niedbała. W takim rozstrzygnięciu sprawy nad wyraz dziwiła mnie nie tylko niezwykła jego naiwność, ale i sam przeląkłem się w duchu, bo w ten sposób powierzał jakoby jagnię niewinne wygłodzonemu wilkowi. Oddawał ją przecież bez zastrzeżeń nie tylko na naukę, ale upoważniał również do nieszczędzenia bezlitosnej chłosty — a w rzeczywistości udzielał przez to pełnego zezwolenia na spełnienie moich pragnień gorących i stwarzał takie okoliczności, że wbrew naszej woli, jeślibym nawet Heloizy miłosnymi umizgami nie zdobył, groźbą i karą mogłem złamać jej upór. Ale dwa głównie względy uwalniały wuja od nieskromnego podejrzenia, a mianowicie miłość do siostrzenicy i nieskazitelna opinia o moich jak dotąd nienagannych obyczajach.

Z początku łączy nas wspólny dom — następnie jednoczą się serca. Pod pozorem zatem nauki cały czas poświęcaliśmy miłości. A do tajnych schadzek, tak pożądanych i drogich dla zakochanych, nastręczało sposobność dawanie lekcji. Rozłożywszy zatem księgi o wiele radziej rozmawialiśmy z sobą o kochaniu niż o nauce. Więcej było całunków niż uczonych wywodów. I częściej ręce dotykały łona niźli kart księgi. O wiele częściej miłością płonące źrenice spoczywały na licach dziewczyny niż na martwych literach. I żeby uniknąć podejrzeń, nawet cięgi i razy nakazywała niekiedy nie złość, lecz miłość. Nie gniew, lecz niezwalczony czar upojenia, który przechodzi wonnością olejki wszelkie. W miłosnym roznamiętnieniu nie zaniechaliśmy żadnych objawów kochania, ale najdziksze nawet podszepty rozigranej wyobraźni spełnialiśmy. I tym namiętniej upajaliśmy się słodyczą uciech miłosnych, nie czując dosytu ni nudy, im mniej ich zaznaliśmy dotąd. A mnie im gwałtowniej ponosiła namiętność, tym mniej zajmowałem się filozofią i coraz bardziej zaniedbywałem szkołę. Do cna mi obrzydło samo prowadzenie wykładów i przebywanie wśród uczniów. Było to rzeczą zbyt uciążliwą i trudną, noce bezsenne poświęcać na miłość, dnie zaś na pracę szkolną. Stałem się takim oziębłym leniwcem, iż w martwej drętwocie ni iskry natchnienia wykrzesać z siebie nie mogłem, poprzestając już tylko na mechanicznym i bezdusznym powtarzaniu w wykładach dawnych moich pomysłów. A jeśli mi się przytrafiło jakoweś pieśni układać — nie miały one w sobie nic z mądrości filozoficznej; sławiłem w nich miłość jedynie. Niektóre z tych pieśni rozeszły się nawet szeroko po świecie. Jeszcze i dzisiaj w wielu krajach ci je śpiewają ochoczo, którzy w urodzie życia podobną radość znajdują. Jakiż smutek, jakie lamenty i żale powstały wśród uczniów moich, skoro spostrzegli, że tak mną miota, rzekłbym raczej, tak mnie obezwładnia nieokiełzana żądza. Rzecz bowiem tak jawna mogła ujść uwagi chyba niewielu osób. Nikt nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości ni złudzeneń z wyjątkiem chyba jednego, w którego honor cała ta sprawa najmocniej godziła. Mam oczywiście na myśli wuja Heloizy. — Fulberta.

(...) O, jakiż ból targał sercem wuja, gdy się dowiedział o wszystkim! Jakaż boleść z rozłąki dla zakochanych! Jakiż rumieniec palił me lica! Jakie udręki żalu i struchy z powodu cierpienia kochanki! Jaka rozpacz szalała w duszy Heloizy na widok mojego poniżenia! Nikt jednak z nas dwojga nie biadał nad własną udręką ani nie płakał nad swoim losem, ale oboje wzajemnie cierpieliśmy tylko z powodu niedoli drugiego. Rozłąka zaś ciał tym ściślej zespoliła nam serca. A miłość nasza, nawet nie nasycana nadmiarem szczęścia, silniej-

szym tylko jarzyła się ogniem. Spełniwszy raz do dna kielich poniżenia i hańby i zwolna wstydu się zbywszy, kroczyliśmy naprzód drogą jawnego zgorszenia, niezdolni stawić oporu powabom miłości. I stało się z nami wedle tego, co opowiada poeta o Wenerze i Marsie przydybanych na igrach miłosnych. Niebawem młode dziewczę poczuło, że jest w błogosławionym stanie, i nie omieszkało z największą radością natychmiast powiadomić mnie o tym, pytając w liście, co ja w tym układzie rzeczy zamierzam uczynić. Pewnej nocy, zmówiwszy się uprzednio, pod nieobecność wuja milczkiem ją z domu wykradłem i nie zwlekając wysłałem do moich stron rodzinnych, gdzie tak długo u siostry mej przebywała, aż powiła dziecię, któremu nadała imię Astralab.

(...) Po przyjściu na świat dziecięcia powierzyliśmy je opiece mojej siostry i potajemnie wróciliśmy do Paryża. A w kilka dni później w jednym z kościołów, przy drzwiach zamkniętych, spędziwszy noc na czuwaniu i modlitwie, wczesnym rankiem w obecności wuja, niektórych jego i moich przyjaciół złączyliśmy się węzłem małżeńskim. I zaraz potem w ścisłej tajemnicy rozeszliśmy się i tylko od czasu do czasu widywaliśmy się, i to z dala od wzroku ludzkiego, w miarę swych sił ukrywając to, cośmy zrobili. Wuj jednak i domownicy jego, szukając pociechy w swej hańbie, zaczęli ludziom rozgłaszać o skojarzonym małżeństwie i łamać dane nam przyrzeczenie dochowania tajemnicy.

Heloiza jednak na przekór wszystkim zaklinała i przysięgała się, że jest to czysta nieprawda. To sprawiło, że wuj wściekle się na nią oburzał i często jej gorzkie czynił wyrzuty. Zwiedziawszy się o tym, umieściłem ją u sióstr w opactwie Argen-teuil koło Paryża, gdzie niegdyś w dzieciństwie swym wychowywała się i uczyła. Tam dla niej przygotowałem szaty na modłę klasztorną, z wyjątkiem welonu, i w nie ją przebrałem. Skoro się tylko o tym dowiedzieli jej wuj, krewni i bliscy, myśleli, że ja gorzko z nich sobie zadrwiłem. Mniemali bowiem, że po to właśnie osadziłem Heloizę w klasztorze, by w ten sposób łatwo się jej pozbyć. W szalonej wściekłości uknuli przeciwko mnie spisek. I oto pewnej nocy, kiedy spokojnie spałem w swej odosobnionej izdebce w gospodzie, przekupiwszy jednego ze sług moich, dokonali na mnie najokrutniejszej i najhaniebniejszej zemsty, która oburzeniem najwyższym przejęła świat cały: pozbawili mnie mianowicie tych właśnie członków ciała, którymi popełniłem to, co stanowiło dla nich kamień obrazy. Po dokonaniu tej zbrodni natychmiast rzucili się do ucieczki. Dwom jednak z oprawców, których zdołano schwytać, wyłupiono oczy i otrzebiono części rodne. Jednym z nich był ów wspomniany sługa, który pozostawał stale w moim towarzystwie i żądzą złota wiedziony, dał się nakłonić do zdrady.

(...) Wyznam szczerze, że w takiej zgryzocie i smutku, raczej z upokorzenia i wstydu niż z powołania zmuszony byłem ukryć się w murach klasztornych. Heloiza jednak pierwsza na rozkazanie moje ochotnie włożyła na się zasłonę i wstąpiła do klasztoru. Oboje tedy jednego dnia przywdzieliśmy święte habity mnisze: ja w opactwie św. Dionizego, ona we wspomnianym już klasztorze Argenteul.

Dotąd tkwi mi w pamięci, jak to niektórzy, litując się nad nią, na próżno starali się ją odstraszyć od włożenia na się jarzma klasztornej reguły — zbyt twardej zaiste kary na młodociane jej lata. Na to ona wybuchnęła nieutulonym płaczem, wśród łez i łkania powtarzając ową skargę Kornelii: „Dostojny małżonku, niegodzien wnijścia w komnaty moje. Taką to władzę miał los nad szczytną twą głową? W jakimże szale bezbożnym oddałam ci się w objęciu, mająca stać się nieszczęściem twoim? Niechaj więc moją przewinę złagodzi kara, którą ja chętnie poniosę". I wśród tych żalów ochotnie zbliżyła się do ołtarza i zaraz przyjęła z ręki biskupa poświęcony welon, zobowiązując się uroczyście do życia zakonnego.

List pierwszy Heloizy do Abelarda

(fragmenty)

Swojemu władcy — raczej ojcu; mężowi swojemu — raczej bratu; jego służebnica — raczej córka; jego małżonka — raczej siostra; Abelardowi — Heloiza.

List, któryś Ty mój, najmilszy, posłał do przyjaciela swego z tym przeznaczeniem, by go pokrzepić na duchu, dziwnym trafem dostał się świeżo do rąk moich. I zaraz z pierwszego wejrzenia odgadłam charakter pisma Twej ręki. Wnet z wielką pilnością zabrałam się do czytania, świadoma będąc, jak wielce z duszy i serca kochana jest mi osoba, która kreśliła te słowa. Boć jeśli już nie jest mi dane weselić się z Tobą, pragnęłam przynajmniej przez słowa odświeżyć w pamięci Twą postać. Niestety! Niepodobieństwem jest mi zapomnieć, że niemal od początku do końca list Twój goryczy był pełen a żółci. Zawierał on przecież opowieść o żałośliwej naszego wstąpienia do zakonu godzinie i nieprzerwanym pasmie, miły Ty mój. Twych cierpień.

(...) Nie bez przykrego zdumienia wypada mi stwierdzić Twą całkowitą niepamięć o wzruszających chwilach naszego wstępienia do klasztoru. Litością Cię nie natchnęły ni bojaźń boża, ni miłość ku mnie ani przykłady ojców świętych. Mnieś samą zostawił chwiejną w głuszy mych myśli i bezustannej rozterce ducha. Tobie zaś zawsze zbywało na chęciach, by mnie pocieszyć bądź to swą obecnością, bądź listem. W pierwszym rzędzie winieneś zrozumieć szczególną wagę swych względem mnie powinności, ponieważ nad inne względy wzajemne nas z sobą złączyły sakramentalne związki małżeńkie.

Tym żywszej jestem godna pamięci, iżem Cię zawsze, jak każdy przyzna, kochała miłością bez granic. Ty wiesz najlepiej, mój miły, i wszyscy wiedzą, że tracąc Ciebie, straciłam wszystko; że zbrodnia najnikczemniejsza i wszystkim wiadoma wyrwała mi Ciebie, me szczęście burząc na zawsze, że wreszcie nieporównanie boleśniejszy nad stratę był sam rodzaj klęski. Im przeto głębiej tkwi korzeń cierpienia, silniejszych potrzeba nań leków. A nigdzie indziej niźli przy Tobie. Jeśliś sam stał się przyczyną nieszczęścia — stań się też ostoją i źródłem wesela. Ty tylko jeden zasmucić mnie możesz, Ty tylko jeden pocieszyć, Ty tylko zelżyć mą żałość!

Ty tylko jeden wedle sił swoich winieneś mi świadczyć te dobrodziejstwa, gdyż jam wprost przebrała w spełnianiu Twojej woli, a nie chcąc Ci się w czymkolwiek przeciwić, dla dogodzenia Twoim zachciankom miałam odwagę rzucić swe szczęście na pastwę losu. Co więcej — rzecz trudna do wysłowienia — w tak dzikie szaleństwo przeistoczyła się miłość moja i w tak wielką żądzę składania ofiar, iżem się raz na zawsze rozstała z samym przedmiotem pragnień mych najgorętszych, ni skry nadziei nie żywiąc posięścia go kiedykolwiek na nowo. Na Twoje zrządzenie naprędcem strój odmieniła, wraz z nim przeobrażając uczucia, by Ci świadectwo złożyć tym poświęceniem, żeś niepodzielnym jest władcą i mojej duszy, i mego ciała.

Nigdy, Bóg mi jest świadkiem, niczegom innego nie pożądała w Tobie okrom samego Ciebie. Ani mię związki małżeńskie nęciły, ani wiano posażne; nie chciałam nigdy spełniać swej woli ani też szukać własnych przyjemności. We wszystkim, jak sam wiesz dobrze, pragnęłam być Twoją rozkoszą.

A jeśli nawet godność małżonki szczytniejszą i trwalszą być się wydaje, inne imię zawsze stokroć słodszym mi było: miano Twej ukochanej, a jeśli mi za złe nie weźmiesz, Twej miłośnicy czy nałożnicy. Żywiłam bowiem to przeświadczenie, że im się niżej dla Ciebie ukorzę, mocniej Ci przylgnę do serca, a jednocześnie dostojność Twoja mniejszy odniesie uszczerbek.

Wdzięczna Ci jestem i rada, żeś prawdzie mych uczuć, które snadź dobrze pamiętasz, świadectwo złożył w swym liście do przyjaciela. W nim to raczyłeś wyłuszczyć niektóre moje zachęty i rady, którymi usiłowałam Cię odwieść od złowieszczego małżeństwa. Niemniej jednakże skrzętnieś pominął milczeniem wiele innych względów, dla których wolałam przenieść miłość nad stadło, a wolność nad jarzmo.

Boga tu biorę za świadka, że gdyby nawet sam Cezar August, władca świata całego, raczył mnie uwieńczyć honorem swojej małżonki, światowe cesarstwo ścieląc pod nogi moje, zawsze z większą rozkoszą i dumą wolałabym siebie mianować Twą nałożnicą niż monarchinią. Cześć przecie i cnota nie zawsze chodzą w parze z dostatkiem i mocą. To drugie bowiem uśmiechem jest szczęścia, to pierwsze — dziełem zasługi.

(...) Dwie główne zalety Twoje, wierzaj mi, drogi, sprawiły, że stać się mogłeś niezwyciężonym pogromcą i łowcą błyskawicowym serca wszelakiej kobiety, a to słodycz Twojej złotoustej wymowy i wdzięk Twoich pieśni. Nie mniemam zgoła, by kogokolwiek z mędrców dwa te uroki w jednakiej mierze zdobiły. Wiadomo przecie, że w żmudnych znojach filozoficznych dociekań godziwej szukając rozrywki, że nie powiem igraszki, mnogieś układał piosenki i rytmy, a to na nutę miłosną, które dla swoich słodkich melodii i myśli natchnionych szerokim się echem rozniosły po świecie. Imię zaś Twoje ani na chwilę nie gasło melodią na ustach ludzkich. Te piosenki Twoje przechowały się nawet w pamięci prostaczków, a to przez wdzięk swoich melodii.. I dla tych to nade wszystko względów piersi niewieście dyszały miłością ku Tobie. Gdy nadto większość z Twych śpiewów sławiła naszą miłość wzajemną, imię Heloizy nucono szeroko po świecie, zazdrość żarząc w sercach licznych niewiast.

Bo jakaż uroda, ducha czy ciała, nie dodawała krasy Twojej młodości? Jakaż niewiasta, co ongi mię obrzucała zawistnym wzrokiem, dziś jednak gdym postradała swe szczęście promienne, od politowania nad moim losem wstrzymać się zdoła? I któryż choćby z dawnych mych nieprzyjaciół — mężczyzna li to, niewiasta li to — nie płakać jest mocen mej doli? Nienawiść sama przeinaczyła się w litość!

Ty wiesz najlepiej, jako ja sama jestem wszystkiemu winna — niczemu będąc nie winna. Wszak sprawiedliwość nie zważa na to, co się nazewnątrz dzieje, lecz wnika w zamysły człowieka; i nie w samych postępkach, lecz w tajniach ducha lęże się wina; Tyś jeden zgłębił do dna me myśli, Tyś jeden doznał serca zapałów — Ty jeden sądzić mię możesz! Zawierzam ci w pełni jako sędziemu, zawierzam jako świadkowi.

Lecz, jeśli możesz, powiedz mi jedno, mój luby: czemu po naszym wstąpieniu do zakonu, o którym sam stanowiłeś nie radząc się wcale, jaka jest wola moja, tak bardzo mnie poniechałeś i tak głębokoś pogrzebał w pamięci, że mię ani rozmową, ani towarzystwem nie rozweselisz, ani choćby listem pocieszysz dla umilenia rozłąki? Powiedz, raz jeszcze Cię proszę, albo nie — lepiej ja sama Tobie odpowiem, co myślę: żądza to ciała, wierzaj, mój miły, nie przyjaźń, zew krwi płomienny — nie miłość żadna rzuciły Cię w moje objęcia. A kiedy przygasł i wytlał żar Twoich uczuć, na palenisku zostały popioły.

Bogdaj, mój miły, było to moje tylko mniemanie! Niestety! Wszyscy myślą podobnie. Nie jest to osobista obawa, ale powszechne zapatrywanie, nie przeczucie jednostki, lecz zdanie ogółu. Bodaj mnie samej jednej tak się widziało, a miłość moja znalazła choć kilku rzeczników szczerości, którzy by stając w Twojej obronie, cośkolwiek złagodzili mą żałość. Bogdajbym choć sama zmyśliła pozory, które by Ciebie uniewinniały, a we mnie rodziły złudzenia, że jeszcze warta coś jestem w Twych oczach! Zważ, proszę, o co Cię błagam. To w rzeczy samej — zobaczysz — jest taka ot sobie lichotka, która Cię zinąd niewiele trudu kosztować będzie. Gdy już się nie mogę napawać widokiem oblicza Twego, raczże choć w słowach wyrazić nastroje ducha, co by mi odczuć dały w wspomnieniach wdzięk Twojej postaci! Boć w słowach mistrz z Ciebie nie lada! Na próżno wyglądam od Ciebie szczodrobliwości, jeżeli winić Cię muszę o skąpstwo w słowach. Aż do niniejszej chwili żywiłam święte przekonanie, że jakaś nagroda i wdzięczność należy mi się u Ciebie, jako że wszystko spełniłam dla Ciebie i nadal trwam wiernie w twardym pełnieniu Twej woli. To nie nabożność żadna czy powołanie w zaranku mojej młodości strąciły mnie w kaźń klasztorną; zniewolił mię tylko Twój rozkaz. Jakże to płonno się trudzę i dręczę, jeżeli za me ofiary nawet mi wdzięczen nie jesteś!

Wszak i od Boga samego nie wolno jest mi się spodziewać zapłaty, gdyż niewątpliwą jest rzeczą, że jeszczem niczego dotąd nie uczyniła z miłości ku Niemu.

Gdyś się nawrócił do Boga, szaty swe odmieniwszy poszłam w Twe ślady, co mówię! jam pierwsza kroczyła przed Tobą. Niby pamiętny na żonę Lota, wspak się rozglądającą, mnie pierwszą pogrzebałeś w murach klasztornych, mnie pierwszą zaprzągłeś w jarzmo niewoli. Chociaż niebo mym świadkiem czynię, przenigdy bym się nie zawahała pośpieszyć, czy to za Tobą, czy to przed Tobą, w same otchłanie piekielne, jeśliby tylko takie było Twoje życzenie. Wszak serce moje bije dla Ciebie, nie dla mnie. I dzisiaj zwłaszcza, bardziej niż kiedy-

kolwiek, jeśli przebywa gdzie indziej niźli przy Tobie, w ogóle nie masz go ngdzie, gdyż żyć bez Ciebie jest dla niego istnym niepodobieństwem. Ale też błagam, mój miły, miej krztę litości dla niego, aby błogości zaznało, a będzie niechybnie mu błogo, jeśli Cię miłościwym odnajdzie, jeśli mu miłość w zamian oddasz za miłość i łaski małe za wielkie, za czyny — słowa. Dałby to Bóg, mój drogi, żebyś Ty mniej był pewien mojej miłości! Na ten czas im kruchsza byłaby Twa ufność, tym większą byś mnie otaczał czułością i troską. Niestety, rozwielmożniła się zbytnia dufność Twoja, jakąś Ty we mnie pokładał, dlatego tak zimnym się stałeś i obojętnym.

Zachowaj w żywej pamięci, jak wiele uczyniłam dla Ciebie, i przemyśliwaj, jakim Ty jesteś dłużnikiem wobec mnie. Kiedym po społu upajała się słodyczą miłosnych uniesień, wielu ludzi pytało: czyli ja to z pożądliwości czynię, czyli z miłości. Jednakże już dzisiaj wiadomym się stało, jakie mnie naówczas ożywiły zamiary. Wyrzekłam się wszelkich przyjemności, by być poddaną Twej woli. Niczego w duszy nie zastrzegłam dla siebie okrom pragnienia, ażeby w ten sposób stać się dzisiaj szczególną Twoją własnością. Pomyśl przeto, jakim sam jesteś nędznikiem, jeżeli w miarę mych coraz to większych poświęceń i ofiar szczupleje wdzięczność Twoja, więcej — ze szczętem zanika. A przecie proszę Cię o tak niewiele i o rzeczy tak łatwe do spełnienia.

Na koniec błagam Cię na wszystkie świętości, pozwól mi odczuć swą bliskość w sposób dla Ciebie dostępny i dowolny. Niechaj to nawet będzie najzwyczajniejszy list z jakąś pociechą, ażebym nią orzeźwiona, swobodniej się mogła oddawać służbie bożej.

Przypomnij sobie, jakżeś to dawniej, chcąc mię uwikłać w sidła światowej rozkoszy, natarczywie naprzykrzał mi się swoimi listami, jakżeś to w pieśniach nieschodzących z ust ludzkich sławił swoją Heloizę, jaką melodią rozbrzmiewało me imię we wszystkich miejscach publicznych i w każdym ustroniu domowym. O ileż słuszniejszą byłoby rzeczą, by mnie dziś mocniej wspierało Twe ramię w zdążaniu do nieba, niźliś to ongi czynił kuszeniem zwabiając mię ku przyjemnościom ziemskim. Rozmyślaj, proszę Cię, nad tym, co mi się u Ciebie należy, i zważaj, czego od Ciebie żądam.

Długi swój list przerywam tym krótkim pozdrowieniem: Bądź zdrów, jedyny!

List drugi Heloizy do Abelarda

(...) Jakaż mi pozostanie nadzieja na przyszłość po stracie Ciebie? Jakież pobudki, które by mnie skłoniły do przedłużenia pielgrzymki na ziemi, skoro Ty jesteś jedyną moją ostoją? A zresztą cóż mi już z Ciebie zostało! Chyba ta tylko świadomość, że żyjesz. To moja radość jedyna. Dla wszelkich innych przyjemności jestem umarła. Samo widzenie się z Tobą mogłoby mię otrząsnąć z drętwoty. Ale i ono nie jest mi dozwolone.

A gdyby tak wolno było zawołać: O Boże okrutny nad wszelkie wyobrażenie! O sroga litości i szczęście przeklęte! O losie, coś na nieszczęsnej zużył moc swoją i mnie jedyną chmurą przeszyłeś grotów, że ci i nie dostaje, iżbyś w zaciekłym szaleństwie miotał nimi na innych! Strzał pełen kołczan na mnieś opróżnił, iż łuk straszliwy w nikim nie budzi już zgrozy. A gdyby nawet i pozostała jeszcze i z jedna strzała, gdzież los złowrogi odnajdzie miejsce na świeżą ranę? O jedno się tylko lękał tak liczne zadając ciosy, to chyba, abym nie położyła kresu męczarniom. I choć mię uśmierca dnia każdego, obawia się jednak ostatniej zagłady, którą przyśpiesza.

O ja najnieszczęśliwsza wśród nieszczęśliwych i najnędzniejsza wśród biednych! Twa miłość sprawiła, żem wyniesiona została nad wszystkie niewiasty na niedosiężne wyżyny, ażebym stamtąd strącona wielkością upadku zmazała swe własne i Twoje winy. Im loty górniejsze, tym głębsza przepaść upadku.

Którą z niewiast szlachetnych i możnych los śmiałby ze mną zrównać, że już nie powiem: nade mnie wywyższyć? I jestże choć jedna, którą by strącił w taką przepastną otchłań i tak unicestwił boleścią? Jak wielką sławę zdobyłam przez Ciebie! jak straszną zarazem poniosłam klęskę! Jakaż krańcowa dola jest moim dziełem: raz ściele róże pod nogi, raz

ciernie w skroń wplata. Tak w dobrodziejstwach jak w przeciwieństwach przebrana miara. Tak przeznaczenie zrządziło, iż stałam się zrazu szczęśliwszą nad inne, snadź po to jedynie, bym ogarniając myślą ogrom swej straty, tym żałośliwsze rozwodziła żale, im cięższą poniosłam klęskę, i by mię tym żywszy pożerał smutek za szczęściem minionym, im je gorętsza wyprzedzała miłość. Promienną radość z najupojniejszych rozkoszy przyćmiła najposępniejsza żałoba. I żeby się zrodził bunt sroższy z krzywdy doznanej, wszystkie prawa sprawiedliwości zostały na równi dla nas zdeptane. Bo w rzeczy samej, jak długo trwożnie smakowaliśmy zakazanego owocu miłości, że użyję szpetniejszego, ale dosadniejszego wyrazu: jak długo brnęliśmy w nierządzie, były nam miłościwe surowe wyroki niebios. Lecz skoro tylko uświęciliśmy związki nieprawne, gniew boży dotknął nas okrutnie, a ręka Pańska karząca ciężko zawisła nad nami. I mściwym okiem spojrzał na nasze niewinne rozkosze, Ten, który nam długo płazem przepuszczał rozpustę.

(...) Jeślibym bowiem miała Ci wyznać bez żadnych osłonek całą nędzę mojego ducha: oto nie mogę się zdobyć na skruchę zdolną przebłagać Stwórcę. Będąc zraniona twą krzywdą, zawsze oskarżam Boga o okrucieństwo najdziksze. Bunt stale podnosząc przeciwko odwiecznym wyrokom, bardziej szemraniem wyzywam, niż przebłaganiem łagodzę gniew boży. Wszak jakaż może być mowa o ekspiacji za grzechy, na cóż się zdadzą bodaj i najsurowsze utrapienia ciała, jeżeli duch rwie się nadal do złego i po staremu serce jest pełne nieczystego wrzątku. Nikomu nie sprawia trudności z win się spowiadać, siebie oskarżać albo też ciało umartwiać przez kary zewnętrzne. Co jednak przychodzi każdemu najtrudniej, to żądzę wytrzebić i zdławić w swym wnętrzu to łaknienie ziemskiego szczęcia.

(...) Te miłosne rozkosze, jakimi raczyliśmy siebie nawzajem, z taką słodyczą mi ongi przypadły do smaku, że nie mogę ich sobie obrzydzić ni w żaden sposób przegnać z pamięci. Gdziekolwiek się zwrócę, wyczarowane zjawy stają mi przed oczyma. I samą nocą, gdy usnąć pragnę, lube ciągoty nie dają spokoju. Nawet czasu najuroczystszego nabożeństwa, gdy z duszy ulatać winna modlitwa żarliwsza i czystsza, szpetne wspomnienia roją mi się po głowie i serce biorą w tak władną niewolę, że się silniej wyrywa ku znanym sobie igraszkom niż ku modlitwie. Zamiast ubolewać nad tym, co już się stało, wzdycham ku temu, co nigdy nie wróci. Nie tylko coś-

my spełniali, lecz nadto porę pomnę, miejsce pomnę, kędyśmy lube stroili baraszki. I każdy szczegół będący świadkiem szczęśliwych szaleństw tak się utwierdził w moich wspomnieniach i zrósł z Twoją postacią, że wszystkim tym żyję, jakby to teraz dopiero się działo. Również po nocach mary podobne płoszą mi sen z oczu. Niekiedy znowu to tak jakoś i samo mimowiedne poruszenie ciała i słowa z ust. się wymykające zdradzają, jaka mię nęka zmora miłości.

O, ja naprawdę nieszczęśnica i najgodniejsza owego biadania człowieka, co jęczał w niewoli chuci cielesnych: „Nieszczęsny ja człowiek! Kto mnie wybawi od ciała tej śmierci?" Obym też z równą szczerością mogła powiedzieć: „Łaska boża przez Jezusa Chrystusa."

List Bernarda z Clairvaux do Innocentego II

... Mamy tutaj we Francji nowego teologa, co się nim stał z wieloletniego mistrza filozofii. Od wczesnej młodości wydziwiał cuda w dialektyce, obecnie dopuszcza się szaleństw w tłumaczeniu pism świętych. W omszałej przeszłości potępione i zapleśniałe dogmaty wskrzesza na nowo do życia, a nadto wymyśla świeże własne kacerstwa. Zbadał już wszystkie tajniki i tam na niebie, i tu na ziemi. Nie ma zdaje się, rzeczy pod słońcem, której by nie poznał, nie rozumiejąc tylko, jak można czegoś nie wiedzieć. W chmurach nosi swą głowę, nieodgadnione rzeczy chce myślą przeniknąć, zstępując zaś do nas, duby smalone nam prawi, o jakich nie godzi się śmiertelnym nawet i mówić. Gdy się stara rozumem wszystko wyjaśnić, podważa prawdy, co przerastają ludzką pojętość, owszem takie głosi, co urągają zdrowemu rozsądkowi i sprzeczne są z wiarą. Cóż bowiem być może bardziej niedorzecznego, niż usiłować rozumem przewyższyć sam rozum? Cóż bardziej sprzeciwia się wierze, niż nie chcieć wierzyć w nic takiego, czego nie można zbadać rozumem?

Ponadto chcąc skomentować myśl Salomona: „Kto łatwo wierzy, jest lekkiego serca" tak prawi: „Łatwo wierzyć jest niczym innym, jak dawać wiarę rzeczom bez uprzedniego ich zrozumienia..." Nie dziw przeto, jeżeli człowiek ów targa się na rozwiązanie zawiłych zagadek wiary, bez cienia szacunku roz rzuca i depcze ukryte skarby religii. Nie mając należytego ani godnego wyobrażenia o wierze, zaraz na samym wstępie swej Teologii — powiedzmy raczej swej durnologii — określa wiarę jako mniemanie, tak jakby w tym przedmiocie wolno było myśleć i mówić, co się komu żywnie spodoba, tak jakby prawdy naszej wiary wisiały niepewnie na włosku i były uzależnione od pstrych domysłów i różnych dociekań, a nie wspierały się na niewzruszonym fundamencie.

Ten tylko ma czelność zwać mniemaniem, kto dotąd nie doznał łaski ducha, któremu obca jest Ewangelia albo też wydaje się bajką... Innego zdania jest Augustyn: „Wiara — powiada — nie zasadza się na przypuszczeniach człowieka, w którego duszę puściła korzenie, ale jest wiedzą tym mniej zawodną, że wspiera się na świadectwie sumienia..." Tylko zwyczajem akademików jest snuć ciągłe domysły, we wszystko wątpić — niczego nie wiedzieć.

Co do mnie, spokojnie polegam na zdaniu apostoła narodów i przekonany jestem, że nie będę zawstydzon. Wyznaję, że bardzo mi się podoba sformułowane przez niego określenie wiary, które Abelard ukrycie zbija, jako rzekomo fałszywe. „Wiara zaś — mówi Apostoł — jest podstawą tych rzeczy, których się spodziewamy, i przeświadczeniem o rzeczach niewidzialnych". Jest zatem wiara podstawą rzeczy, których wyglądamy, a nie rojeniem i czczym zgadywaniem... pewnością, nie chwiejnym domysłem.

Lecz posłuchajmy dalej. Twierdzi, jakoby Duch św. był duszą świata, z Platonem zaś trzyma, że świat jest tym doskonalszym stworzeniem, im szlachetniejsza ożywia go dusza i duch boży. Do siódmego potu się trudząc, by ochrzcić Platona, dowody składa, że sam spoganiał ze szczętem.

Berengara nauczyciela apologia

(fragment)

...Nagle, o zgrozo, wylazło szydło z worka, a wąż uśpiony zasyczał żądłem. Pominąwszy wszystkich Piotra Abelarda wziąłeś sobie na cel łuku, chcąc wylać na niego całą swą żółć, oddalić go z kraju żyjących, umieścić pośród umarłych. Sprosiwszy zewsząd biskupów na synod w Soissons, ogłosiłeś go jawnym kacerzem i niby płód poroniony odciąłeś go od łona matki Kościoła. Chadzającego drogami Chrystusowymi jak zbójca napadłeś z zasadzki, z szat go obdarłeś. Przed zgromadzonym narodem prawiłeś kazania, by orędował za nim modlitwą przed Bogiem: w tym samym czasie skrycie uknułeś dekret, co go miał skazać na banicję z krajów chrześcijańskich. Cóż począć miało ciemne pospólstwo? A ty, mąż boży, który działałeś cuda i któryś pospólnie z Marią siedział u stóp Chrystusa i wszystkieś słowa wiernie zachował w sercu swoim, Ty właśnie winieneś był spalać co najwonniejsze kadzidła modlitwy przed obliczności świętych, by grzeszny Abelard przejrzał i stał się innym człowiekiem, obmytym z brudnych podejrzeń. Lecz nam się zdaje, że było Ci raczej na rękę, aby pozostawał takim, jak jest, gdyż wtedy miałeś lepszą sposobność napastowania go.

... Jaka dokoła Abelarda rozpętała się burza szatańskiej nienawiści, a jak obłędnie szalała nieprzejednana wściekłość — te rzeczy w żadnym wypadku nie powinny ujść trzeźwej rozwagi, w niczym stępić bystrości sądu Stolicy Apostolskiej. Lecz łatwo zbacza z drogi sprawiedliwości, ktokolwiek w sądzie bardziej się lęka człowieka niż Boga. Prawdą jest również, co przepowiedział prorok: „Każda głowa chora, a każde serce żałosne. Od stopy nogi aż do wierzchu głowy nie masz w nim zdrowia".

... Bernard chciał tylko naprowadzić Abelarda na dobrą drogę — rzekną stronnicy Bernarda. Jeżeliś, dobry człowieku, chciał go nawrócić na wiarę i skłonić do nienagannej prawomyślności, w takim razie dlaczegoś go przed narodem naznaczył niestartym piętnem oszczerstwa i hańby? Dalej, jeżeliś się starał zburzyć w narodzie miłość do Abelarda, jak jednocześnie mogłeś na serio zmierzać do jego poprawy?

... Z wszystkiego jeden wypływa wniosek, żeś się nie rządził pragnieniem poprawy człowieka, lecz że cię poniosła żądza osobistej zemsty.

KRONIKA ŻYCIA PIOTRA ABELARDA

1079 Urodził się Piotr Abelard.

1095—1099 Abelard studiuje filozofię u Roscelina w Locminé.

1100 Abelard przybywa do Paryża.

1101 Abelard zwycięża w publicznej dyskusji Wilhelma z Champeaux.

1102 Abelard zakłada własną szkołę w Melun, później w Corbeil.

1108 Abelard wykłada w Corbeil.

Ok. **1110—1113** Abelard przebywa w Laon. Zatarg Abelarda z teologiem Anzelmem z Laon.

1113—1118 Abelard wykłada w Paryżu. Poznaje Heloizę (1101—1164).

1118 Abelard ma z Heloizą syna Gwiazdochwyta (Astralaba).

1120 Abelard wykłada w Maisoncelle (Szampania). Ma 3000 uczniów.

1122 Abelard demaskuje fałszywość legendy o św. Dionizym.

1123 Abelard zakłada w pustelni koło Nogent szkołę zwaną „Parakletem".

1129—1134 Przypuszczalna data powstania „Historii niedoli".

1136—1137 Abelard wykłada w Paryżu. Ma 5000 uczniów.

1142 (21 kwietnia) Abelard umiera w Saint Marcel koło Châlons-sur-Seine.

WYDAWCA I REDAKCJA
PAŃSTWOWE TEATRY DRAMATYCZNE
WROCŁAW, UL. G. ZAPOLSKIEJ 3
Sekretarz Redakcji: ZDZISŁAW DUSZEWSKI

CENA ZŁ 3.–

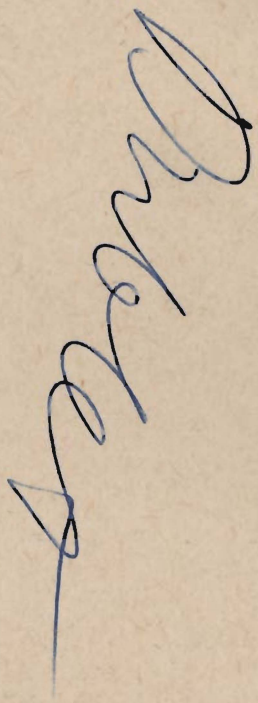

PAŃSTWOWE TEATRY DRAMATYCZNE WE WROCŁAWIU
ODZNACZONE ORDEREM „SZTANDAR PRACY" II KLASY

OTWARCIE SEZONU 1959/60

ROGER VAILLAND

HELOIZA I ABELARD

HÉLOÏSE ET ABÉLARD

sztuka w 3 aktach (10 obrazach)

Przekład:
JAN KOTT

Opracowanie dramaturgiczne:
ANDRZEJ WITKOWSKI

Inscenizacja i reżyseria:
ANDRZEJ WITKOWSKI

Scenografia:
JADWIGA PRZERADZKA

Kierownik artystyczny:
JAKUB ROTBAUM

Dyrektor Teatru:
ZDZISŁAW GRYWAŁD

Polska prapremiera w Teatrze Kameralnym 21 listopada 1959 r.

OSOBY:

HELOIZA	— HALINA DOBRUCKA
ABELARD	— PIOTR KUROWSKI
FULBERT (KANONIK)	— WŁADYSŁAW DEWOYNO
KSIĄŻĘ DE ANJOU	— ANDRZEJ POLKOWSKI
MARGOT	— JANINA ZAKRZEWSKA
GARLANDE WIELKI SĘDZIA	— ZBIGNIEW NAWARA NOWOSAD
KANONIK	— ALEKSANDER OLĘDZKI
MAJSTER	— MIECZYSŁAW ŁOZA
DWORZANIN I	— STANISŁAW SIEKIERSKI
DWORZANIN II	— KAZIMIERZ HERBA
DWORZANIN III	— LUDOMIR OLSZEWSKI
POBOŻNA DZIEWICA	— JADWIGA SKUPNIK
SŁUŻĄCA W OBERŻY	— DANUTA KORYCKA
MIESZCZANIN I	— ANTONI ODROWĄŻ
MIESZCZANIN II	— LUDOMIR OLSZEWSKI
GONIEC KSIĄŻĘCY	— STANISŁAW SIEKIERSKI
DRZEMIĄCY MĘŻCZYZNA	— ANDRZEJ WITKOWSKI

Straż pałacowa, mieszczanie, dziewice pobożne, mieszczki

Przedstawienie prowadzi:
KAZIMIERZ HERBA

Kontrola tekstu:
WANDA JASIUKIEWICZ

Kierownik techniczny:
MIROSŁAW DZIKI

Kierownik sceny:
TADEUSZ KACZMAREK

Kierownik oświetlenia sceny:
SIEMION APTIK

Kierownicy pracowni:

krawieckiej męskiej:	Józef Preckało
krawieckiej damskiej:	Wanda Preckało
szewskiej:	Mikołaj Bratasz
perukarskiej:	Mieczysław Wojczyński
stolarskiej:	Michał Praisner
malarskiej:	Tadeusz Chądzyński
modelatorskiej:	Tadeusz Żakiewicz
tapicerskiej:	Ryszard Tkaczyk
ślusarskiej:	Stanisław Tapek